

Józef Czechowicz
„Dzień jak co dzień”, Warszawa 1930

daleko

wiatraki kołyszą horyzont
chaty pachną stepem
chatom źle
stoją na palcach o zachodzie ślepe
wspinają się jak konie
za chwilę się pogryzą

nie step ucichłe morze
rozlewa się wieczór bez szumu
świecące szyby otoczyły kolejowy dworzec
zachód mozolnie żuje gumę

ostajcie zdrowo matuś
z wojska napiszę list
nad parowozem dym białe kwiaty
gwizd

w niedzielę pociąg odjechał
w inną niedzielę przyjdzie
pracują czerwone obłoki pchają się ku słońcu
na stacji dzień jak co dzień tydzień jak tydzień
a szyny
szyny się nigdzie nie kończą

na wsi

siano pachnie snem
siano pachniało w dawnych snach
popołudnia wiejskie grzeją żytem
słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach
życie pola złotolite

wieczorem przez niebo pomost
wieczór i nieszpór
mleczne krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu

nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec

księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegoż się bać
przecież siano pachnie snem
a ukryta w niem melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem

jesień

uliczka za uliczką rzucona sierpem stromo
okuty słońca mosiądzem szedł tędy młody żołnierz
złocisty talerz fryzjera kłaniał się jemu domom
a ten sam wiatr oblizywał wisły masywne półcie

za domami podzwania tramwaj jak w bramę wchodzi w
powietrze

żołnierz także się wdziera w powietrze młodo idąc
jesień biegnie na przełaj na bliskim jest kilometrze
kasztań przy rogatece już rdzawo policzki wydał

no więc będzie szaro jak film się poprzemyka
już wypukłe zdarzenia cwałują ławą dokąd
takiej geografii nie ma na życiu nie ma równika
jak pilotowi trzeba powierzyć się młodym krokom

miłość

przedświt się czule czołgał
przez mroczne puszcze i chaszczę
noc przed nim płynęła wołgą
górami krążyła jak jastrząb

u dróg ciemnych z niebem twarzą w twarz
chaty tłoczyły się w ciżbie
miłość bez gwiazd
miłość tłała po izbach

usta spadają na usta młotem
mocno ciemność sprzęga
pierwsze uściski młode
nieskończoną są wstęgą
ciało się ciałem nakrywa
pachnącym świeżą śliwą
ramiona w gorącej przestrzeni
zamykają się ciemnym pierścieniem
tapczan twardy zgrzany jak rola
orzą chyże lemieszę kolan
aż zamiast pszenic wschodzących i żyt
zaszemrze srebrem świt
zastuka do okna biało

podnieść oczy spojrzeć z uśmiechem
to kwitnącej czereśni gałąź
zgięła się pod strzechę

świat

głębokie kliny ulic noc dzień światła pokotem
lamp kule smugi w okien kwadratach
chodzą kołem zaklętym witryn sklepowych roty
światlisty ich dwurząd ciasną ulicę oplata

za szybą krągłe pudełeczka z blachy
trumny rybek stłoczonych w śmierci oliwie strachu
za drugą kanciaste rozpycha się żelastwo
śruby haki pilniki tryskające jak wachlarz płasko

za tamtą marzenie uwięzło barw i lekkości narkotyk
krążą srebrne dziewczęta w seledynach i tiulu złotym
nadpływa witryna inna koloru morza i zorzy
tu kupiec ognie klejnotów na taflach kryształu rozłożył

pasma okien jak pasy transmisyj
snują się jeszcze jeszcze jeszcze
pędzą lecą od wisły do Wisły
wiją się jak żyły sypią deszczem

rzeczywistość spada płatkami liśćmi
w mieście wichru i pędu nawała
tęczowy zapałał
wyścig

więc także

jezdnie rzeki asfaltu z szumem dążą do krańców
wyłamują się z placów odchodzą zawile kręto
zwieszając głowy pielgrzymie stąpa i latarń łańcuch
i szyny idą drżące kół tramwajowych tętentem

nie stoją domów cementowe sześciany
klatki schodowe izby nie trwają nieruchome
w mrozu szkłe w lazurze jesieni lub wiosnianym
wędrują mozolnie powolnie domy

podłogi gnębi ciężar czworonożnych kroków
tu ławy a tu stoły pełzną kołyski skrzynie
na sprzętów powierzchniach toczy się gwiazdami pył
w powietrzu ciemno czy widno drobinki płyną szeroko
czas płynie

jest

nie ma

będzie

był

dno

żelazny świat tej łodzi
dotknięty kometą granatu
tonął odchodził
pionowo w słoje wody burej
chmurą
na dno na dół

wewnątrz biega na przestrzał
krótkich spięć pożar
drży rzy moc w grubych nitach
jęczą miażdżone morzem
blachy pancerne trzeszczą

akumulatory zalane po wręby
we mgłę ryżej kwasów manometru nie odczytać
i tak wiadomo wciąż głębiej

ciemniejsze czerwieńsze lampy
chrypi cierpki oddech
motor szalał na 400 amper
przeciążony zamilkł
już się poddał

sami

u kabli rur marynarze zawisli bez ruchu
cisza cwałuje straszliwy przybysz
w zaduchu
zalewają skroń ogniste grzywy

bratersko piersią przy piersi
w sieci zerwanych drutów czy w promieniach
oficerowie pieśń zaczynają pierwsi
i łódź się w pieśń zamienia

i orłami czerwonymi w oczach atmosfera
ach tak jest umierać

ciężka ekstaza cichnie w iskier trzasku
widać chaos kształtów na dnie rozpostartych
a t l a n t y d a jest niżej
czarno-czerwona jak karty
a jak port pełna blasków

10 tysięcy lat chłonęła oceanu wino
koncentryczne budowle szumiały w słonej wodzie
teraz powieka zapada ostatni raz
drgnął drut czas
na nowo od końca w maszynę się nawinął
będzie nowych cyfr czekiem

na głębokości stu metrów konając młodzi
zrównaliśmy przeszłe i przyszłe wieki

światło po południu

stań w zatoce posłuchaj woda śpiewa
piers marynarza wypukła jest jak i morze samo
ponad masztów pionami za chmur szarą bramą
słońce złotym sztandarem powiewa

no a barki zrozumiawszy ten sygnał
kołyszą chudymi rej ramionami
i ja wiem otulił się snów maligną
dnia lazurowy kamień

tragarz pasiasty jak bąk fajkę pali
stóp ciemnych mu dotyka zwinięte skrzydło fali
cień leje się na bulwar fioletem i ciszą
tylko dźwigi parowe jak suchotnik dyszą
tylko gwizdże ten malarz na boku fregaty
zawieszony malując liter smutne kwiaty
tylko ty mocną rękę zwijając jak linę
przeciągasz się dziwaczną rzucasz w lazur linę

strzeż się
drogi strzeliste i ostre jak promień
echem dzwonią z dalekości
żagli trójkąty strome
ciche są jak pościg

strzeż się
słuchaj zatoki
popołudnie w światłach nie śpi
w lenistwie tak słonecznym idą czyjeś kroki
strzeż się
tajemnicze a rzeńskie

jedyna

patrzę patrzę

smutne i wesołe rzeczy są jednakowe
przystanek tramwajowy wciska w ramiona głowę
fabryka zatopiona powietrza oceanem
grzeje kominami wieczór i tak już nagrzanym
w domy nim je zamazał letni zmierzch smagły —
paciorki lamp chłodnawe sypnęły się gradem nagłym
sennie brzęczą witryny wtórując kołom krokom
bełkoce za żołnierzem pękaty wypukły bukłak
okna lampy gazeta żołnierze Maroko

patrzę patrzę

i rzeczywistość tak jakoś sama w rękach jak granat wybuchła
fabryka domy przystanki może czekają
zmierzch tuli się do ulic może chce uwierzyć
na drobnych przedmiotach niepokój śniegiem leży
rzeczy matek nie mają
a moja

patrzę patrzę

schodzi ze schodów uśmiech siwy
twarz zmarszczek siatka geograficzna
według niej żegluję między ludźmi szczęśliwy
to szczęście w jakich wyliczyć liczbach

kiedyś

dzieciństwo złe szczenię szczebało w dni wodospadach
głodnego na tapczanie gorączka mnie żarzyła i jadła
połatane ubranko szeptem opowiada
ręce chropawe od pracy dla mnie kradły

pani na pierwszym piętrze ma powieki płatki liliowe
gdym poznał że malowane jak ciężko dusiły łązy
matka z gniewem chłonęła moją spowiedź
krzyczała pięścią groziła światu że zły

jeden kąt
w roku wojny
w rodzinnej izdebce szłocha
gdy synek wlecze się na front
zranione nogi ciągnąc w dróg prochu
wsparty towarzyszem karabinem

patrzę patrzę
teraz ręce oczy jak most przerzucają się do mnie
most miłości wspomnień przebaczeń zapomnień
fabryka palce kominów w ciepłym zmierzchu macza
przystanek czerwonym wzrokiem zerknął tu szydarczy
przedmioty czyżbym się wstydzić was musiał
dla was powiem słowa inaczej
siwy uśmiech silniejszy od śmierci
matusiu

dzisiaj verdun

samochody planety świecące deszcz stał ukosem
przechodnie w melonikach melonik czarny owoc
cienie rzeczy ulica czarniejszym mruczały głosem
tylko tramwaj uparciuch błyskał na drucie różowo

nad jezdnią latarnie wisiały mleczne obłoki
wieczór a mleczne obłoki lecz wyżej było ciemno
kanciaste bryły kamienic w żalobie mroku po kim
a dach zupełnie jak balon w górę gdzieś zemknął

no powiedz czy nie spokojne ciche miasteczko stolica
a przecież na trotuarze nowy świat trzydzieści dwa
moknę na deszczu marząc jak podchmielony policjant
samotny w tłumie ja

zlikwidowano wojnę spętano paktów powrozem
na próżno bo my wciąż na froncie bijemy się
patosem dział świszczących bomb grozą
jestem wciąż na pustyniach verdun

deszcz na asfalt światło na krzyk warszawy
oczy mkną na kolumnę ogłoszeń bo ona z chlebem
od wewnątrz czuje mózg wojenną czerwoną prawdę
rozumiesz
cóż po chlebie kiedy nie smarowany niebem

zaulek

kamienny kawałek świata
zaulek w kwiatkach jak dziewczę
nikt na pewno nie zechce
tutaj stukiem samochodu kołatać

tak
to tylko gdzie indziej wybucha zwycięski jazgot
a to ciężkie platformy brzęczą w łańcuchy jadąc
a to znowu fartuchy zarzuciwszy na głowę
rozpychają się autobusy słonie brunatne i płowe
albo tramwaje suną
między wartami latarń
welni się czarne tłumy runo
wrzawa we mgłach i dymie wzlata

tu cicho trawa wśród kamieni
zieleni się niebu jaskółkom
ludzie są dziećmi dużymi
a samolotem ty pszczołko

mieszkam tu w izbie małej jak pudełko
w którą słońce wlewa złociste kubelko
ogródek się waha czy wyjść na ulicę
czy się winogradem wspiać na okiennicę
wiatr tę pustkę kocha często tu przysiada
coś do szczelin szeptać do okien zagadać
zaśpiewać
chwiejącym się tyczynom słonecznika
pająkom na furcie dębowej

noc dzień przenika
ranki wieczory
na domach wtedy światła z boku
prócz księżycowych i słonecznych gloryj
spokój

ranek

zaczęło się wiotko

po pierwsze w mętym tętnic szumie
popłynęły bladawe koła srebrem lazurem się mieniając
na wylot skroś nocy słodkiej

krzyknął tego nie umiem
zawisły
każde koło brzęknęło jak pieniądz

po drugie wyjawilo się słowo k o n c e r k a
płonęło wśród kół samotne we dwójkę z troską
tego też nie znał więc ukradkiem na biurko zerkał
tam słownik puchł i malał i znowu rosnał

po trzecie niepodobna było wytrzymać tak
gdy zniecka się zapadł w węże czarnych sprężyn
trzeptał rękami tonąc na wznak
zbudził się w oknie trwał księżyc

trzecia rano godziny siwe i nowe
zwyciężyć tak a jeśli wstać trudno
auto poniosło na dworzec ciężką głowę
potem pociągu pudło

oczy senne a koła kołącą jawa
wagon niski między szyny śliskie
na puszyste śniegowe stawy
padały dziurkami czerwone iskry

czytał się w ciemnościach wężąc jak zwierzę
nurt mrucał powiewem przeżyć
ale mącił zagubiał kluczył

nie tak łatwo czytać siebie i nauczyć

a tym bardziej że za okno wybiegał
patrzył na śnieg ziemię płaską
obłok jutrzni puszyste zero po lasach ją głaskał
za obłokiem księżyc jeszcze
semafor ale czego

kieszon

notes

reflektorem wytrysły notowania giełdowe cyfry znaki
lilpop bank dyskontowy huta gryf Starachowice
a i słońce weszło czerwoną ławicą

więc potem

na cały dzień przestał być tajemniczym ptakiem

śmierć

napisano stacja towarowa
napisano magazyn
dźwig i winda zwieszają ciężkie głowy
cokolwiek się zdarzy

wagon czerwone więzienie krów
zatkał okienka pyskami cieląt
ryk żalem kipi ryk i znów
maszyny ciszę mielą

worki na rampie pachną paszą
wieś jest na chwilę jakże nęci
ale nie ma wilgotnego szmeru traw u pęcin
białe lampy noc słodką gaszą

o koła których 8
dobrze wy wiecie gdzie rzeźnia
im hamulcom przyczepom osiom
droga też nie bezbrzeżna

dłaczego deski przepojone smarem
przestały być kwitnącymi sosnami
dlatego i ceglany dom
stacja towarowa z żelaznym dźwigarem
nie zmiłuje się nad nocą i krowami

krowy na zabicie są

jednakowo

pościele wonne zielem
dlatego siano pachnie snem
w słońca kwadratach oknach zieleń
czerwony kwiatek żarzy się jak usta

przez kwiat i te liście wprost
z promieni pochyły most

w ciszy przeczuć
u ciebie mateczko dzień ma oczy krowie
wędrowcem w stepie człapie zapóźniony wieczór
ranki w obłokach się czają
i znowu dzień je łowi
noce migocą snami grając

sieje się słodycz przez lniane sito
ty siejesz matczyzna głowo
zawsze uśmiech ręką serdeczną wita
jasno biało brzozowo

z końca stołu z wagonu z pola i bulwaru
gdziekolwiek oddycham ciemnogrzywy chłopak
oczy me listy myśli jeden mają popas
szepcą zakłęcie wieków wiecznych
wołają gwiazdę czarów
słowo jak słonecznik
m a t u s i u

provincia noc

1

na wieży furgotał blaszany kogucik
na drugiej zegar nucił
mur fal i chmur popękał
w złote okienka
gwiazdy lampy

lublin nad łąką przysiadł
sam był
i cisza

dokoła
pagórów koła
dymiąca czarnoziemiu połać

mgły nad sadami czarnemi
znad łąki mgły
zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły

2

noc to koło
w ciszy niebieskiej wełnie
wilno kościelne
śpi białe jak gołąb

nad zaułkiem arkada
dom domowi dłoń tak uściskał
i zastygł z nagła

jest i latarnia blada
nad chodnikiem drewnianym nisko
i ogród na wietrze zagrał

wilia sie łuszczy
pluszcze o brzeg
litwa ziemia puszczy
jak dobrze

3

w ciemności przegonny powiew
na dachach strzelistych jak pacierz
noc czarną jamą
niewidzialni trzepocą Orłowie
zamość zamość

rynek to staw kamienny
z ratusza przystanią
kolumn kroki senne
dalekie rano

w ciemności ukosy kortyn
blanki szkarpy
bramy
czarnym się fortem
zamość w ziemię wszarpał

amen

dzień

klatki dygocą w studniach cegieł
lampa milczący wulkanów szyldwach
wirem falami śruby pobiegły
na piętra w lodem zionący wind wark

turkot i brzęk blach dołem i górą
chwieje się hala czerwony sztandar
tryska w powietrze czarny pot stu rąk
dym z papierosów ergo i wanda

w białym oparze tłok tryby pchał tak
że kurz opadał dusił darł nozdrza
piec rozpalony szumiał jak bałtyk
tlenowych gwizdków wysoki głos drzał

kamień żelazo łuny grzmoty
koła bijące sercem o tor
ramiona śmigła lewary młoty
gorący motor

gdy chaos huków przybierał pęczniał
o niewiast piersiach marzyła pierś
to drzał w niej ciężar stalowa tęczą
idąca śmierć

do tereski z lisieux

drobniutkie stopki tupot nad otchłania
śnieg pada bieli choinki
oczy tereski bóg zapalił
powinny być skrzydła u ramion
trzepotać zmawiać godzinki

habit czarny spadochron nie pozwala upaść
ludzie upadają płaczą drżą
gwiazdy rodzą gwiazdy księżyc ciemność rozłupał
a ja spłynąłem miłością jak rzeka krwią

zasłoń święta łez dolinę
niech nie widzę
uszy dłońmi otul
jak zapomnieć mam że płynę
w oparach krwawego potu

boi ty masz dłonie białe
ziemia dymi ty się uśmiechasz
zrozumiałem
że milczysz to ma być mój lekarz

odejź teresko
na swoją wysoką steczkę
niech tam na niebie będzie święto niebiesko
pozostanę niedoli dzieckiem

nie anioł ale ziemie
nie chcę błogosławić

z wieków i chwili wydzieram krzyk

o świecie
nim cię kto zbawi
zgiń przemiń

wąwozy czasu

siedemnastego maja o siódmej godzinie
złoty wieczór się kładzie na siwym lublinie
lampy na smukłych słupach biją jak wodotryski
płynące złotem szemrzą o zachodzie okna
ulic klingi placów regularne dyski
futra skwerów złał blask tego ognia
tak w śródmieściu się pali dzień dogasający
inaczej tu o milę od murów
za sitowiem zapada słońce
jak ciężka szala wagi na której zmierzch urósł

czas
wieczność czasu
szare wąwozy czasu
czas

ścieka w kroplach urasta otchłanie zapełnia
wieje chaosem rzeczy co są lecz się topią
w obłokach ciepłych noc dzień przepadły zupełnie
półbrzask jedynie wisi mętny szary popiół
obrazy marcoussisa piorun sen kruk sztandar
świeca morze pociski przyjaciółki ukłon
katalog róg ulicy pieśń mej matki żandarm
wszystko hurgoce w chmurach mgieł sztywnych jak sukno

krzyczący wir wybuchem zniemacka uderza
wir niepokoju powstał może z przeczytanych książek
zagmatwał strugę czasu spruł ją wskroś i przeżarł
szczelinę wydrażył

przez ręką wiru smagłą uczyniony wyłom
widać jak w teleskopie gwiazdę to co było

z daleka namiot cyrku z bliska transatlantyk
zasłonił nieba niebieski fajans
od ryku osypały się urwisk żółte kanty
mastodont stąpa zagniewany
rozpycha wieczór skórę tak wieczorem chłodzi

nagle zwinęły się liście paprotne po gajach
zaszumiały pianą
to nic to ta chwila odchodzi

w chmurnej szczelinie inna sprzed tysiącleci
pyłem drobnym jak petit na szpaltę nadleci

wiatr nurt zgrzebny dymem odurza
gwiazdny jakże piękny jest ognisk purpurowy żużel
za obozem kołysały się wzgórze
grzbietami wielkich wołów
drewniane niezdarne łamały szuwar koła
i tu chaos mosiężne ręce miecze karki
naszyjniki z krzemieni oczy w ogniu jarkim
oto burza postaci w skórach i kozuchach
stosy rozbijające płomieniami łun nów

aż znowu zaszumiało w szumach półbrzask bucha
pochłania miękka paszcza obłoku tłum hunnów
potem się w nowych światłach powoli rozchyła
i jak balon nad miastem niedawna tkwi chwila

muł w rzekach koleczastego drutu
wśród bomb ginących twarze
złuszczył je ból jak belki łuszczy płomień w pożarze
ziemia i pułki butów

dnie stojące na płytkich okopach
mitraliez kaszle i świsty

na ogniach nocny popas
niebo ogniste
miasto mdlejące przestrzeń która rzeźbi
armaty rozpalone rwące się z uwięzi
w ogniach nicość

nagle odmęt białawy zawrzał w głos zanucił
jesteśmy pod lublinem który zorzą płonie
dzień dzisiejszy powrócił
powrócił jak syn marnotrawny
ucałujmy jego skronie

bo gdzie spojrzeć jak dawniej
budynki w oddaleniu lśniące
a tu o milę od murów
za trzcina i sitowiem zagubią się słońce
jak ciężka szala wagi na której zmierzch urósł

czas
wieczność czasu
szare wąwozy czasu
czas

wizje nie nasycają są zawiłym haftem
czy z tego alfabetu co będzie odczytam
po cóż czytać i tak wiem chyba to jest prawdą
pytania odpowiedzi brzmią jak odpowiedzi pytań

wieczorem

mała moja maleńka
chwieją się żółte mlecze
w dolinę napływa gór cień
cichy odwieczerz
brodzi w zmierzchowym nurcie
już późno

mały mój ukochany
trudno z miłości się podnieść
a jeszcze ciężiej od złych nowin
gdy patrzysz na mnie ciemnym nowiem
smutniej mi chłodniej
boję się

rozstać się musimy
ty z innym do ślubu jedziesz
na srebrne noce złote dnie
moja droga gdzie indziej wiedzie
we mgle
tam gdzie najsamotniejsi

słyszę turkot karocy
niebo nazbyt się chmurzy
daj rękę ukochany raz jeszcze
o ciemne godziny pieszczot
co było nie może trwać dłużej
czas mi już czas
całuj ostatni raz
żegnaj

dobrzy ludzie
błogosławcie zdarzenia które przeszły
błogosławcie i te co przyjdą

zapowiedź

czerwone grube spirale dookoła dzbanów
połysk cętkowanych muszli
coraz to mniejsze kule płyną w srebrnej smudze
dom rozchyła się jak wachlarz

jakże ten profil zamknąć w trapezy i kąty
drzewem zwichrzonym tragicznie zasłaniam naszą miłość
ścięte kwiaty uszione w misach
zwierciadła ukazują bladą głębię podwodną

orzeźwia ciężka fałda zapachu kadzidła
wymykają się wreszcie słowa o które chodzi
metafizykę splecioną jak piękne włosy
rozplacze jasny miecz c h e m i a

mózg lat 12

chmury wyżej niżej to nuty
brodzą w błękicie luzem
brodzą i moje buty
w letniego wiatru strudze

kapliczki ze świętym janem
w wianeczku zawiedłych bylin
dosięgnął niewypowiedziany
obłok motyli

dalej drogą na łąkę
wędruj pagórem gliny
torze kolejki
papierowy powój poprzerał szyny

do łąki ścieżyna pałąkiem
na dół z nasypu
depcąc trawę u rzeki
nagi chłopak zakipiał

gdzie się choiny kończą
zasłaniające miasto
wyrzuca sto wiotkich rączek
mózg lat dwunastu

między kroplami chabru
na rybiej łusce fali
trzeпоce się chyży kaprys
torsu gibkiego spirala

krzyk o południe o potok
krzyku pełne usta i garście
w ekstazie słońca jak motor
pali się mózg lat dwanaście

patrzę dzień idzie za południe już niesymetryczny
wkrótce wieczór nasypie się jak góra
wiatr trawy ruszył a nie drgnąłby komin fabryczny
ze złotej rzeka będzie bura

chłopcze chłopiec jutro pojutrze
radość naga a to nie życia zaczn
zamknie się na zawsze jak kluczem
w 1936 chłopcze na rzekę spod hełmu popatrzysz

narzeczona

wszedł na fale łuczniak jutrzni pięść wparł w głąb
ściekał długo złotą strugą migotał w łuskach
w ciemnym złocie liśćmi ociekł jak strugą dąb
w ciemnym świetle wichru wycie i pustka

a cóżeście to tak wodę zmacili
czemu kuźnia pod dębami nie dzwoni
noc zesuwa się niebieska jak kilim
w czarnym krzyku gniazd wronich

wychodziły białe chaty na ług
jeszcze stoi wielka rosa na ziołach
wyjdźże młoda przestąp próg
spójrz w ranek malowany
spójrz bystro dokoła

ukochany
nie wołaj
mam na oczach marę senną piękniejszą

a cóżeście to tak dymy rozwiedli
ze w siności tej nie widać wsi całej
świtem rankiem słońce sunie spod jedlin
jak twarz moja zuchwałę

ustawiały się rzędem płoty
chochołami róż kołysał zły wiatr
wyjdźże młoda na jesienne zaloty
spójrz chłopak u ściany

czarnooki czeka swat

ukochany
me zaloty
sen tęskliwy mara której nie znasz

ja karabin

zapomniałem piękny sierpniu od wczoraj
jak drzwi kina otworzyła się ta pora

mur spękany nad tapczanem rozkwitł srebrnie
znowu głowa będzie gwiazdą niepotrzebnie

artylerio z betonowych łożysk ryknij
dosyć zmierzchów fałszowanych i jutrzni
cedzi słowa bardzo mądre dzień zwykły
w muszlę uszu których ja znów jestem uczniem

słodko wiersze w cieczy cisz tych się ważą
jak trzmiel czarny w tunelowym garażu

tylko taki czas odmienny chciałbym poznać
w którym ludu karabinem będę z wiosną

legenda

spojrzeniem obłoki przebrał trójkąt mądre oko boże
księżyc kroplą ze srebra ciężył o tej porze

smolny swąd z czarnych lasów się dźwigał
nad miastami czerwono i dym i gaz
niebo chodziło kołem jak śmiga
zataczał się bo noc głucha czas

zwykłe słowa
mówi się zawsze zwykłym słowem
o inaczej zaczynać na nowo
otrząsnąć z gwiazd głowę

noc gwiazdy bulwary drzewa
wiatr nie tak szarpie mi kurtę jak niegdyś szarpał sukienkę
przedwiośnie nawet nie śpiewa
przerwało piosenkę

ciszą ty chcesz mnie przebić
w milczeniu słycać twe wieki
groźbą wołasz do siebie
boże daleki

szuka oko bystre
znalazłeś wstrzymałem oddech
wznoszą się ręce przezyste
czekają kiedy się poddam

o daleki
słyszysz te wiersze
o daleki
nie będę twoim świerszczem

wzdychają miłością piersi
nie doczekasz się niebo przemian
niech się wiersz łamie jak pierścień
przybywaj ziemio

ziemia skała glina
a ja to mięśnie i kościec
kończy się co się zaczyna
nie może być jaśniej i prościej

coda

fale chodzą cichutko
z drugiego brzegu od bagien
prowadzi wesołą łódkę
łopoczący żagiel

twarz rybaka w refleksach wiosny
kapelusz nad nią stoży się wysoki
ogorzałe ręce pograżają płytko wiosło
burząc w wodzie obłoki

one i żagiel za cypel płyną prosto
pod wierzbę obciążoną złocistym okwiatem
w milczeniu plam świateł
luby jest postój

taki w pamięci pejzaż się otwiera
choć dzień niejeden go pokrył
jezioro na litwie nazywało się wiero
ten rybak bogdan modryj

myślę miasto niebo w łunie rudawej
tam zdziera płuca we wrzasku odlewni wentyl
pod kratami mostu okręt zawył
stocznie remizy dymią
wszystko cenię ceną legendy
krzyk miasta ciszę na łodzi
legendą olbrzymią dzień jak co dzień